Tom XVII. Nr. 5.
11. sierpnia 1867.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Jan Paweł Woronicz

biskup i uczony Polak.

Gmina Zaleszów ma pobożnych i bardzo porządnych gospodarzy. Szkoła wiejska stoi na prost kościoła, kilka kroków od plebanii, jakby dworek jaki, między gruszami i jabłoniami, ma aż dwie izby osobne do nauki mniejszych i większych dzieci, gdzie co niedziela schodzą się znowu starsi na czytanie Dzwonka, Nowin ze świata, żywotów świętych i innych pism i druków, jakie piszą mądrzy panowie, Xięża i piśmienni gospodarze i mieszczanie. Z tej szkoły poszło już do stu chłopaków na dalszą naukę to do Tarnowa, to do Rzeszowa a nawet do Lwowa i do Krakowa, i wyszli już na Xięży, urzędników i oficerów niektórzy i cieszą się z tego razem z ojcami. Otóż do szkolarzów Józka Szajny i Wojtka Kudronia w Krakowie, przyjechali raz ojcowie sami, Kuba Szajna i Tomek Kudroń; a że w Krakowie są ładne ciekawości po polskich Królach, biskupach, panach i mieszczanach, toż i gospodarze starzy, Szajna i Kudroń, łazili po Krakowie całym i zaglądali do każdego prawie kącika, jak każdy dobry gospodarz patrzy na

całe swoje gospodarstwo. A synowie ich Józek i Wojtek oprowadzali swych ojców po kościołach, po pałacach i zaszli na ostatku do pałacu, gdzie siedzieli biskupi krakowscy. Weszli tam do środka, a tu pokoje pomalowane i różne obrazy po ścianach i znowu dziwne podpisy, co widząc stary Kudroń, powiada:

— A nie słyszał ty mój Wojtku kiedy, który to biskup dał malować tak pięknie te ściany i obrazy?

Na to rzecze syn:

— To wszystko, jak widzicie Ojcze, fundował biskup Jan Paweł Woronicz, dlatego ten pałac zowie się pałacem Woronicza — ale cóż? był on kiedyś daleko piękniejszy, a teraz po ogniu podupadł wiele i dopiero go na nowo naprawiają Krakowianie.

Na to nadszedł stary sługa, który pilnuje zawsze pałacu i pokazuje ciekawości każdemu a przytem umie opowiadać doskonale wszystko o dawnych polskich biskupach. Toż on powiadał tak:

— Jeżeliście ciekawi gospodarze, to ja wam opowiem z mej starej głowy wszystko o tym biskupie Woroniczu, a nie zmylę się ani na jedno słowo.

I słuchali obaj ojcowie i ich szkolarze, co stary sługa zaczął opowiadać.

— Ten mądry i sławny biskup Woronicz nie urodził się w naszej Galicji, ale aż daleko za Lwowem, w kraju polskim co się nazywa Wołyń, a co teraz ma Moskal niedobry i tam strasznie dokucza katolikom naszym.

Ojciec tego biskupa, Jan i matka Salomea, byli z rodu pańskiego, ale nie mięli majątku, jeno byli possesorami po różnych dworach, a dotego było kilkoro dzieci. A choć nie było tam majątku dużego, to przecie ojciec dawał syna do szkoły i myślał sobie: niech się uczy i bieduje za młodu, a na starsze lata będzie mu może lepiej niż mnie. I zgadł ojciec, bo ani mu się śniło wtedy, że syn jego zostanie kiedyś biskupem. A jak się syn wyuczył i pokończył szkoły to w mieście Łucku, to po klasztorach różnych, zawiózł go ojciec aż do Warszawy, gdzie były takie wielkie szkoły, jak w Krakowie, i dał go wyuczyć na xiędza.

Jak się kto chce koniecznie czego nauczyć, to się wyuczy. I ten syn został księdzem i tak się prowadził pobożnie, że go lubił arcybiskup w Warszawie i sam Król polski. A to się stało roku 1794, kiedyto Moskale i Prusaki zabierali kraje polskie i kazali Polakom zostać Moskalami albo Niemcami, a to przecie być nie może.

Stary Kudroń powiada na to:

No to jak syn został księdzem, to się skończyła bieda ojca i matki, boć pewnie wziął ich do siebie.

— A naprawdę tak było, rzecze stary sługa, bo młody ksiądz Woronicz dostał dobrą parafię koło Warszawy, w mieście Liwie, gdzie była fara wielka, toż mógł wtedy ojców swoich trzymać przy sobie, jako dobre dziecko. Ale niedługo on tam popasał na jednem miejscu, bo dobrego księdza każdy łapie i bierze, toż i ksiądz Woronicz przeniósł się na lepszą parafię do miasta Kazimierza nad Wisłą, niedaleko Sandomierza, a którąto farę fundował Król Kazimierz W. i nazwał ją po swojem imieniu. Miał teraz czem tam żyć i miał co i drugim rozdawać, toż nie marnował grosza, ale fundował szkoły, szpitale, i sam chodził do szkoły codzień i uczył dzieci miejskie i wiejskie na rozmaitych książkach. Aż go panowie poznali dobrze i zaprowadzili na dwór księcia Czartoryskiego w Puławach. A w tych Puławach koło Warszawy fundował książe Czartoryski Adam szkoły, potem nakupił strasznie dużo starych książek ciekawych i te książki poustawiał w wielkich szafach w osobnym domu, na to, aby każdy ciekawy Polak mógł się uczyć na tych książkach a potem napisać znowu inne jakie książki ciekawe. Sama pani dworu, księżna Czartoryska, spraszała do swego dworu wszystkich mądrych Polaków, tam ich traktowała po pańsku, a jej córka Izabela uczyła sama w swojej szkole wszystkiego parobków i furmanów dworskich oraz i ich dzieci.

— A czy ten dwór jest tam jeszcze dziś taki sam? zapytał stary Szajna.

— Dwór stoi wprawdzie, rzecze stary sługa, ale zabrali go Moskale i tam uczą polskie dzieci po moskiewsku, przerabiają ich na wiarę moskiewską z katolickiej religji, a książki zrabo-

wali i zawieźli aż do Petersburga, gdzie siedzi car moskiewski. Do tego dworu w Puławach jeździł też często i ksiądz pleban Woronicz z Kazimierza, a tam lubili go wszyscy dla jego nauki. On ciekawy opatrzył tam wszystkie książki we dworze, a gdy się przypatrzył wszystkiemu dobremu w całym dworze to napisał sam taką książkę, w której opisał wszystko, co tam widział i czego się nauczył, a książkę tę porozbierali Polacy wszyscy i do dziś trzymają ją po dworach i kościołach i czytają z niej dawne polskie ciekawości.

— A to może jaka pobożna książka? pytał szkolarz Kudroń.

Stary sługa mówi nato:

— Nie jest to książka do nabożeństwa w kościele, ale do nauki w domu, jakto bywało w polskim kraju i co to porobili Czartoryscy w Puławach. Nazywa się „Sybilla polska“. Za tę książkę nazwali Polacy mądrzy z Warszawy księdza Woronicza uczonym Polakiem, zapisali go do złotej książki na wieczne czasy, i chcieli go koniecznie sprowadzić do Warszawy na kanonika albo biskupa. Ale nie było miejsca dla niego przy kościołach w Warszawie na te czasy, toż uprosili go Czartoryscy, aby sobie osiadł w jednej wsi koło Warszawy. Na tej wsi uczył on sam codzień chłopskie dzieci, pisał dla nich książki do nauki i do nabożeństwa, ratował chorych, gadał im kazania, a co miał rozdawał ubogim. A gdy po te czasy umarł jeden kanonik w Warszawie, toż biskup warszawski zrobił go zaraz kanonikiem i osadził koło siebie. Toż widzicie jak mu Bóg dawał dobre za jego dobre życie i za naukę. Jak się dostał na kanonika do Warszawy, zaczął tam gadać takie kazania, że z całej Polski zjeżdżali się ludzie, aby słuchać jego nauki. I te kazania wszystkie są spisane i zostały po nim do dziś.

— A jakże dostał on się do Krakowa i wyfundował tu ten pałac dla biskupów? zapytali gospodarze.

— A jak by się dostał inaczej, rzecze stary, oto akuratnie umarł wtedy biskup w Krakowie a Król polski i wszyscy Polacy obrali go zaraz na biskupa tutaj, i tak też przyjechał tu

z Warszawy, wyfundował ten pałac, najął malarza z Krakowa Stachowicza, który tu miał ojca mieszczanina i tu się wyuczył malować kościoły, dwory, pałace, i ten to Stachowicz pomalował te wszystkie ściany takiemi rozmaitemi obrazkami na rozkaz biskupa i porobił te napisy wszędzie, jak mu sam biskup powiedział. Otóż macie teraz coście chcieli wiedzieć o pałacu Woronicza. Ponaprawiał on potem kościoły w Krakowie, wyfundował nowy kościoł we wsi Jangrodzie tu koło Krakowa i tę wieś nazwali Polacy po imieniu biskupa Jangrodem dla tego, bo biskupowi było na imię Jan i ta pamiątka dobra została po nim na wieczne czasy.

— A czy on tu umarł? pytał stary Kudroń.

— Umarł on na obcej ziemi, rzecze stary sługa, a to tak się znowu stało: Jak umarł arcybiskup w Warszawie, to wzięli go Polacy drugi raz do Warszawy i zrobili go arcybiskupem, był on teraz najpierwszym biskupem na cały polski kraj i rządził wszystkiemi kościołami, był po Królu zaraz pierwszym i nazywał się dlatego prymasem, co znaczy z łacińskiego tyle na polskie, że był najpierwszy i największy nad biskupami.

Dopóki siedzieli Królowie polscy w Gnieżnie i Krakowie, to biskupi gnieźnieńscy byli takimi prymasami, a odkąd znowu siedzieli Królowie polscy w Warszawie, był prymasem biskup warszawski. Widzicie teraz, jakto syna biednego possesora wyprowadził Bóg do takiego państwa, a to wszystko zrobiła nauka i dobre życie. A jak wyszedł na takiego prymasa, to nie zapomniał nigdy na tych ludzi wsiowych, między którymi się urodził i wychował. Napisał on też znowu książkę ciekawą o pieśniach ludowych, w której opisał wszystko, gdzie i jak i co spiewali ludzie po wsiach czy to na weselu, czy przy jakiej zabawie. Miał wielkie zmartwienie z tego, że polski kraj zabrali Moskale i Niemcy i prosił Boga, aby dał Polakom, to co mieli od dziadków — kochał on wszystkich Polaków, i był rad im nieba przychylić i robił wszystko dla nich przez całe swoje życie, dlatego był dobrym Polakiem. Ale zachorował i wyjechał do Marienbadu kąpać się w wodzie uzdrawiającej — to mu już nic nie pomogło i umarł tam. Ciało jego sprowadzili Polacy do Krakowa i tu pochowali roku pańskiego 1830 zaraz

drugiego dnia po Trzech królach. Pałac ten został na wieczną pamiątkę jego tu w Krakowie i tu idą Polacy, aby zobaczyć ciekawości tego dobrego i mądrego biskupa.

Stary sługa przestał mówić a gospodarze Kudroń i Szajna razem z szkolarzami opatrzyli ten pałac do okoła, gadali o nim jeszcze długo, a wróciwszy do dom do Zaleszowa, opowiadali co widzieli i co słyszeli dobrego w Krakowie.

Ksiądz Wojciech z Medyki.

ŻNIWO.

Minął maj zielony,
I czerwiec gorący;
Pożółkły już plony,
Boże Wszechmogący!

Słowik już nie śpiewa,
W zaroślu pod lasem,
Bo zboże dojrzewa,
Bo żniwo za pasem.

Oj! żytko jedyne,
Oj! przeniczko złota,
Wnet w ranną godzinę,
Zacznie się robota.

Jęczmieniu wąsalu,
Co się dumnie chwiejesz,
Narobiąż ci żalu,
Ani się spodziejesz.

Owiesku mój ładny,
Co tak szumisz hożo,
Zetnie cię sierp zdradny,
Na ziemię cię złożą.

Hejże dalej, hola!
I ty ciężkie proso,
Zabiorą cię z pola
Do stodoły zniosą.

Pójdzie z pola jarka,
Człek się uspokoi,
I pani tatarka
Sama nie dostoi.

Hejże cała wioska,
Wyruszy gdzie trzeba,
Niech się nikt nie troska,
Będzie dosyć chleba.

Serce się raduje,
Choć spocone czoło,
Bo gdy człek pracuje,
Zawsze mu wesoło.

Ostrz że mi sierp żywo,
Mój kowalu złoty,
Boć nadeszło żniwo
Czas mi do roboty.

Danaż moja dana!
Mija dzień po dzionku
Od samego rana
Człowiek już na słonku.

Lecz potem też miło
Wspomnieć przy kominku,
Jak się to tańczyło
Skocznie na wyżynku.

Emilia L.

Jak się w nieszczęściu zachowywać należy.

W jednej z pięknych wiosek naszego kraju żył pewien poczciwy i pracowity gospodarz, imieniem Marcin. Rola jego nie bardzo rozległa, ale dobrze uprawiona, obfity wydawała plon, a domostwo piękne i schludne świadczyło, że Marcin jest człowiekiem porządnym i że mu się dobrze powodzi. Skoroś tylko wszedł do świetlicy, spostrzegłeś ład i porządek, bo też Marcin miał równie pracowitą żonę, która dbała o wszystko co do niej należało. Po izbie uwijało się kilkoro drobnych dziatek, czysto umytych i porządnie odzianych a w karności i bojaźni Bożej przez oboje rodziców wychowanych. Widocznie błogosławił Bóg poczciwej rodzinie i widocznem tam było szczęście i dostatek, obok bojaźni Bożej, pracy i oszczędności.

Widząc wesołe oblicze Marcina, zawsze jakąś pracą zajętego, krzątającą się koło dobytku gosposię, a dzieciny bawiące się przyzwoicie, nie jeden sąsiad może westchnął sobie w duchu i nie jeden zapewne zazdrościł Marcinowi pięknych koników, ładnych krówek, wełnistych owieczek — ale szanować i kochać nikt go nie przestał.

Dla sierot był Marcin miłosiernym, dla sąsiadów usłużnym, dla sług ojcem. Rzetelny w najmniejszej rzeczy, za największe złe poczytywał chciwość, kradzież, skąpstwo, marnotrawstwo, pijaństwo, lenistwo, kłótnie i gniewy, plotki i obmowy. Wszystkiego tego strzegł się jak ognia, i mawiał często, że lepiej wszystko postradać, aniżeli Boga jednym z tych grzechów obrazić.

Dziedzic i ksiądz proboszcz bardzo kochali i szanowali Marcina, a dziedzic nieraz przyzywał go do dworu i rady jego jako człowieka rozumnego zasięgał, a jak Marcin ze swoim interesem przyszedł do dworu, to pan choćby miał najwięcej gości, wszystkich porzucał, a szedł do Marcina.

Przez długie lata używał Marcin spokoju i dostatku z rodziną swoją i aniby się kto spodział ile to nieszczęść spadło jak grom na poczciwego rolnika.

Owóż ni ztąd ni z owąd pochorowało mu się bydło i w ciągu kilku dni cztery krowy padły. Był to dla Marcina wielki

cios, bo choć się miał dość dobrze, nie było w mieszku pieniędzy złożonych aby mógł tak zaraz stratę sobie wynagrodzić a zapożyczać się nie chciał. Marcin jednak zniósł ten cios mężnie a płaczącą żonę karcił, upominał i pocieszał. Aliści ledwie Marcinowie cokolwiek po tem nieszczęściu ochłonęli, spotkało ich drugie: wilki porwały ich owieczki pasące się spokojnie pod lasem, a wkrótce potem podkopali się złodzieje do stajenki i skradli im konie.

Teraz już trudno sobie było dać radę. Marcinowa krzyczała, płakała, ręce łamała i ledwo jej serce nie pękło od wielkiego żalu — ale Marcin jak ów dąb wyniosły, którego lada burza nie ugnie i nie złamie tak łatwo, nie poddał się rozpaczy, jeno się modlił i prosił Boga o zmiłowanie.

I pan Bóg go wysłuchał, przynajmniej tak się zdawało... Dziedzic przywołał go do dworu, użalił się nad nim, pani przytuliła dziatki małe. Znalazła się we dworze praca tak dla Marcina jak i dla jego żony, a przy pracy znaczny zarobek. Oboje Marcinowie nie żałowali rąk, pracowali od świtu do nocy, składali grosz do grosza na krówki i koniki — i gdy dawniej byli dla całej gromady wzorem cnoty przy szczęściu i dostatkach, tak teraz nie jeden mógł się z ich przykładu nauczyć, jak to człowiek ma znosić nieszczęście. Po niejakim czasie i Marcinowa zapomniała trochę o przebytych ciosach i nabrała ufności w Bogu i Jego łasce.

Ale miara nieszczęść nie była jeszcze wyczerpana. Pewnego razu, gdy Marcinowie wraz z dziećmi spoczywali w twardym śnie po całodziennej pracy, straszny pożar ogarnął ich domostwo. Spali tak twardo, że nie wiedzieli o niczem, aż ich zbudziły krzyki sąsiadów, którzy się zbiegli na ratunek.

Już było zapóźno ratować, cały dom spalił się do szczętu. Marcinowie ledwo z życiem uciekli z płomieni, niosąc dzieci na rękach.

Wszystkim dziwno był dlaczego ani dziedzic ani ksiądz proboszcz nie przybyli do ognia, choć to zawsze było ich zwy-

czajem, że jak tylko gdzie we wsi wybuchł pożar, zaraz spieszyli z pomocą. Dopiero jeden sługa dworski oświecił ludzi, że u księdza proboszcza jest dzisiaj wielki zjazd gości.

Ale jeszcze bardziej dziwno ludziom było, że Marcinowa, co dawniej przy każdem nieszczęściu tak zawodziła, że ją słychać było na drugim końcu wsi, a tak zaraz traciła przytomność, że sobie w niczem rady dać nie mogła, jeno mąż musiał myśleć o wszystkiem i za nią i za siebie, teraz przeciwnie krzątała się ciągle, wynosiła, ratowała co mogła i za siebie i za męża, a Marcin tak uczuł to nowe nieszczęście, że prawie zmysły utracił i ani się nie ruszył do niczego, jeno siedział jak martwy: do nikogo nic nie gadał, i tylko biedak dzieci zwoływał do siebie i co chwila rachował czy są wszystkie, na całem ciele trząsł się jak w febrze, i to bladł, to znowu czerwieniał. Cuciła go żona, cucili go sąsiedzi, ale to nic nie pomogło.

Aż gdy ostatnia głowienka zgasła i ludzie się rozeszli, a na pogorzelisku zostali tylko sami Marcinowie z dziećmi, dopiero wtedy przyszedł cokolwiek do siebie; ukląkł na zgliszczach, odkrył głowę i modlił się głośno z wielkim płaczem a obok niego poklękały dzieci i żona i wszyscy się modlili i płakali. A ten płacz i ta modlitwa wielką były ulgą dla ich serc zbolałych, osobliwie zaś dla Marcina.

Wschodzące słońce zastało ich modlących się jeszcze i płaczących. Wówczas zdało się im że słyszą turkot i domyślili się, że to pewnie goście z plebanii dopiero teraz odjeżdżają. Ale turkot coraz się bardziej przybliżał, a wkrótce ujrzeli i poznali siwki księdza proboszcza i jego samego ku nim jadącego.

Ksiądz proboszcz kazał stanąć, wysiadł z bryczki i poszedł prosto na pogorzelisko; Marcinowie oboje do nóg mu się rzucili. Proboszcz zaś wyjął z kieszeni spory worek, a dając go Marcinowi, rzekł:

— Bóg wam przez moje ręce przyseła; to wam wystarczy że sobie jaką taką chatę odbudujecie.

— Jegomość, to chyba cud, to już za wiele, wyjąkał Marcin nieśmiało; — tyle łaski... Jegomość, my tego nie godni.

— Godny pomocy, kto tyle co wy wycierpiał, rzekł ksiądz; Bóg was zasmucił i Bóg was teraz pociesza, to od niego a nie odemnie, mnie nie stać na taki podarunek. Ale oto miałem wczoraj gości, zgadało się o waszem nieszczęściu, Bóg natchnął serca panów że się na was złożyli.

— O mój Jegomość drogi, czemże my wam i tym panom dobrym odwdzięczymy?

— Bądźcie tylko tacy cnotliwi jak dotąd.

To powiedziawszy nie czekał na podziękowania, jeno czemprędzej wskoczył na bryczkę i wracać kazał na plebanię. W tejże chwili odezwał się dzwonek na kościółku, a Marcinowie dziwnie wzruszeni i uradowani, na mszę świętą pospieszyli, aby podziękować Bogu za niespodziewaną pomoc, jak mu przed chwilą dziękowali za nieszczęście, którem ich nawiedził.

Jak Marcin, tak każden człowiek postępować powinien w nieszczęściu. Gdy kogo dotknie pożar, powódź lub inna klęska, nie narzekać ani na żebractwo się puszczać, ale pracować, być mężnym i wytrwałym należy — a jeżli nieszczęście będzie tak wielkie, że przejdzie słabe siły człowieka — o! to wtedy jedna łza wymodli u dobrotliwego ojca w niebiesiech pocieszenie, a często i nadspodziewaną pomoc.

I. P.
nauczyciel z Lutczy.

Z czego powstają wiatry i chmury?

Cała ziemia jest otoczona powietrzem. Powietrze jak się rozgrzeje, to się rozrzedza i rozszerza. Weź pęcherz czyli mecherzynę, zawiąż dobrze i włóż do ciepłego pieca, a powietrze w pęcherzu tak się rozszerzy, że aż go z hukiem rozsadzi. Powietrze zaś rozszerzone, ciepłe, jest lżejsze niż zimne i dla tego wznosi się w górę.

Dlaczegoż to tak trudno opalić wysokie izby? Oto dla tego, bo ogrzane powietrze ucieka ciągle do góry. Dlatego

też w izbie jest zawsze chłodniej na podłodze, jak na powale. Wyleź jeno po drabinie trochę w górę, a przekonasz się o tem. Dla tego samego w zimie, człowiek siedząc w izbie, prędzej zmarznie w nogi, choć je ma dobrze owinięte i w butach, aniżeli w gołe ręce. Także i muchy dla tego w jesieni uciekają ciągle pod powałę, bo tam jest cieplej jak na podłodze, gdyż ogrzane powietrze jako lżejsze, uciekło do góry.

Podobnie jak w izbie, dzieje się i na ziemi Słońce ogrzewa powietrze, powietrze ogrzane idzie w górę, z boków zaś napływa powietrze zimniejsze; to się także ogrzewa i znowu idzie w górę, a powietrze zimne pcha się na jego miejsce. Ztąd to powstają wiatry.

Pewnie widział każdy, że jak w zimie jest wielki dym w izbie, a otworzy się okno albo drzwi, to dym wychodzi górą, a dołem powraca. Pochodzi to ztąd, że górą ucieka z izby ciepłe powietrze i dym z sobą zabiera a dołem przypływa ze dworu zimne powietrze i dym wpędza do izby. Kto się nad tem trochę zastanowi, ten pewnie zrozumie jak wiatry powstają. — Teraz zaś wam powiem jak powstają chmury.

Skoro która gospodyni chce prędko swoje chusty wysuszyć, wiesza je tam, gdzie wietrzyk wieje; tak się należy, bo wiatr lepiej suszy, jak słońce bez wiatru.

Ale dla czegóż to tak jest? Oto dla tego: Suche powietrze wsiąka w siebie wilgoć. Gdy niema wiatru, to powietrze napiwszy się wilgoci, leży na chuście i już więcej wilgoci nie wsiąka, jak zaś wietrzyk zawieje, to zaraz spędzi wilgotne powietrze a napędzi świeżego, suchego, które przeciąga po wilgotnych chustach i je suszy.

Bardzo się myli kto mówi że samo ciepło suszy chusty, bo w zimie, choć jest mróz, chusty wyschną, byle tylko był wiatr a każda gospodyni wie dobrze, że jak wyszuruje w izbie podłogę, a chce aby podłoga prędzej wyschła, to musi poroztwierać drzwi i okna aby dobrze do izby nawiało, bo to prędzej pomoże, jak największe palenie w piecu przy zamkniętych drzwiach i oknach. To też dzieje się tym sposobem, że powietrze wciąga w siebie wodę rozlaną po podłodze.

Podobnie jak postawisz przy otwartem oknie szklankę z wodą, to wody ciągle będzie ubywać, aż nakoniec całkiem zniknie i szklanka będzie sucha. Gdzież się woda podziała? Oto powietrze, wietrzykiem przypędzane, piło ją po trochu, wciągało w siebie, aż nakoniec całkiem ją wypiło.

Jak z mokrej chusty, z wilgotnej podłogi i ze szklanki, tak też i z całej ziemi powietrze ciągle pije wodę. Powietrze unosi się nad morzami, nad jeziorami, nad rzekami, strumieniami i źródłami, po nad wilgotnemi lasy i łąkami i wszędzie zabiera w siebie cząsteczki wody. A cóż powietrze robi z temi cząsteczkami wody? gdzież się one podziewają?

Owoż te cząsteczki wody schodzą się z sobą i tworzą chmury, z których potem na ziemię pada deszcz, albo śnieg, albo grad.

Kto chce dobrze zrozumieć jak się to dzieje, niech posłucha uważnie co mu powiem.

Skoro kto w ręce zziębnie i chucha żeby je ogrzać, to zaraz poczuje, że mu ręce od tego chuchania jakoś zwilgły, a skoro pochucha na suchą szybę, to wnet szyba okryje się wilgocią, czyli wodą. To pochodzi ztąd, że chuchamy powietrzem wilgotnem, bo para ludzka nic innego nie jest, jeno powietrze wilgotne, czyli powietrze z wodą zmięszane. Pary w ciepłej izbie niepostrzeżesz, za to w zimnej widać ją doskonale; ta para na bardzo zimnem szkle tworzy krople wody, które nawet marzną i zamieniają się w śnieg, ta sama para gdy jest silny mróz, zamienia się w sople, które wiszą człowiekowi na wąsach gdy długo chodzi po mrozie.

Tak samo i tam w górze, w zimnem powietrzu, z cząstek wody powstaje mgła, z mgły krople, z nich zaś śnieg, a nakoniec lód, a to takim sposobem:

Po nad naszemi głowami przeciąga ciągle to ciepłe, to zimne powietrze. Gdy takie powietrze co się dużo wody napiło, zejdzie się z innem, zimniejszem powietrzem, wtedy cząsteczki wody, nagle ochłodzone, zamieniają się w mgłę. A mgła to nic innego nie jest tylko chmura. W głębokich górach często widać wierzchołki gór chmurami okryte, ale jak się tam wyjdzie na wierzchołek, to nic w około nie widać tylko mgłę, bo mgła a chmura to jedno.

Gdy koło chmury przeciąga powietrze ciepłe a suche, to wtedy z chmurą dzieje się to samo co z mokrą chustą na płocie. Powietrze ją całkiem wypije, tak jak wilgoć z mokrej chusty i chmura zniknie, a niebo się wyjaśni. Ale skoro do chmury przypłynie jeszcze zimniejsze powietrze, wtedy cząsteczki wody w chmurze zamieniają się w krople, tak samo jak para na szkle a krople niemogą się utrzymać w powietrzu, bo są za ciężkie i spadają na ziemię jako deszcz.

Śnieg zaś i grad wtedy powstają, gdy chmura spotka się z takiem bardzo zimnem powietrzem, że aż zmarznie od wielkiego zimna; z mgły zmarzniętej mamy śnieg, a z kropli deszczowych zmarzniętych, grad.

Kiedy już tyle o tem mówimy, muszę wam opowiedzieć jedno ciekawe zdarzenie.

W głównem mieście moskiewskiem Petersburgu, jeden minister sprosił dużo gości na wielki bal. Było to wśród bardzo mocnej zimy, o jakiej my tu ani wyobrażenia nie mamy, a w sali gdzie się bal odbywał, było takie straszne gorąco, że goście nie mogli wytrzymać, a kobiety mdlały. Chcieli otworzyć okno, ale było tak zamarznięte, że się niedało otworzyć. Wtedy jeden oficer poradził stłuc szybę, i zaraz to uczynił. Cóż się stało?

Oto w pokoju zaczął śnieg padać.

Dziwne to zaprawdę zdarzenie, ale my je sobie umiemy wytłumaczyć. Oto para, którą ci wszyscy ludzie z siebie wydawali unosiła się w powietrzu pod samą powałą, całkiem jak chmura; gdy nagle powietrze lodowate zawiało przez stłuczone okno, zmroziło parę, czyli zamieniło ją w śnieg, — a tak tutaj nie z nieba, ale z powały sali balowej, wypełnionej ludzkiemi wyziewami, padały płatki śniegu.

Stanisław Krakowczyk.

RÓŻNOŚCI.

(List do gromady Smerekowa.) Pani B. E. o której pisaliśmy w Dzwonku, z jakim to żalem gromada Smerekowa żegnała ją przy odjeździe,

napisała teraz do tej gromady bardzo piękny list, który nietylko tych, do których jest pisany, ale każdego poczciwego człowieka ucieszyć i rozrzewnić powinien. Jest on za długi żebyśmy go tu cały pomieścić mogli, podajemy więc z niego przynajmniej co ważniejsze wyjątki.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Mili moi, sercem kochani Przyjaciele!

Gdy Bóg dobrotliwy zrządził żem się z wami rozłączyć musiała, i opuścić drogą waszą rodzinną wioskę, w której już rada byłam spocząć w mogile między wami, gdym was żegnała wszystkich jak własną rodzinę z gorącemi łzami żalu, żądaliście abym wam donosiła listownie o sobie i całem powodzeniu mojem. Dotrzymuję słowa bardzo chętnie, bo niewymowna tęsknota moja za wami, za lubemi stronami, za wszystkiem miłem co zostawiłam, myśl moją i serce zawsze unosi do Was. Wierzę że wszystko co Bóg względem mnie postanawia jest dla dobra mojego, więc i ten smutek przyjmuję wdzięcznie i ofiaruję panu Jezusowi, który dla miłości naszej opuścić musiał ojczystą ziemię i uchodzić w obce i nieprzyjaźne strony, który dla miłości ludu swego opuścić musiał cichy domek Nazaretu gdzie mieszkała Marja, a iść nauczać i zbawiać ludzi. Bóg widzi z jak sierocym bólem opuściłam mój domek, moje sioło, mogiły moich dzieci, Was moi mili... a jednak błogosławię Jego świętą wolę, i was kochani proszę abyście zawsze wolę Boską przyjmowali chętnie, pełnili wiernie, a mnie zawsze serdecznie kochali.

O sobie bardzo mało jeszcze w tym liście donieść Wam mogę.

Póżniej wszystko Wam o sobie donosić będę, teraz pozwólcie że z przepełnionego jeszcze żalem serca, wypowiem Wam moją wdzięczność, podziękuję Wam jeszcze raz za Wasze serce, Waszą poczciwość, Waszą miłość, bo żegnając Was niemogłam tylko płakać i nie podobna mi się było wyrwać z rąk Waszych serdecznych, rąk pracowitych, błogosławiących mnie na drogę i smutnie załamanych.

Dzieckiem jeszcze prawie przybyłam do Waszej miłej wioski i Wasi Stróże Anieli stali się i mojemi, a Archanioł Patron Waszej cerkwi wziął i mnie wraz z wami pod skrzydła swojej opieki. Przeżyłam z Wami lat 18 i cała moja młodość przekwitnęła między Wami, przepłynęła nie jedną łzą smutku, jakim Bóg dotknąć raczył. Wyście każden ten smutek widzieli; Wyście mnie młodą, niedoświadczoną nauczyli nie jednej rzeczy gospodarskiej, nie jednej pracy około tej świętej ziemi, Wyście płakali ze mną na grobach moich dzieci, któreście odnieśli i skryli między dziatwą Waszą upodobaną Bogu, Wyście mi radą i dobrem słowem zawsze służyli, słabą nieraz doglądali, Wyście mi chaty otworzyli i w Waszych frasunkach i smutkach wołali jak swoją, Wyście mi dziatki Wasze powierzali, ze mną się kumali, Wyście mnie darzyli chle-

bem w Waszych weselach, wieńcem w Waszych zbiorach, Wasi żywi mnie kochali, Wasi umierający modlili się ze mną, Wasi pomarli wstaiawją się za mną do Boga, niech że Wam to Bóg płaci! niech Wam to Bóg odda i błogosławi Was i dzieci Wasze... ja wam wypłacić nie mogę... Wasz płacz przy rozstaniu poszedł za mną w całą wędrówkę mojego życia, brzmi w mojej duszy i nie umilknie w niej do śmierci! Nie na daremnie on poszedł i nie przyjdzie dla mnie jak wspomnienie tylko. On się domaga uroczyście i żałobnie abym zazasłużyła na niego, abym się stała godną Waszej miłości, abym się poświęciła dla braci Waszych, dla ludu, który jeszcze mocniej kocham teraz, po owym dniu ostatniego maja, pamiętnym dla mnie!... Ten płacz dopomina się nieustannie wielkim bolesnym głosem współczucia i pracy dla Was, miłości dla Was.

Gdy przyszłam na świat w zielonej wiosce nad Sanem, a matka moja śmiertelnie chora, zaledwie nie odeszła sieroty i nie poszła do nieba, kobieta wiejska była dla mnie drugą matką, z własnem dziecięciem mnie karmiła i kochała, i zdrową piersią wychodowała Bogu i ludowi, wypielęgnowała na macierzyńskiem łonie. Od powicia więc stałam się przybranem dzieckiem wiejskiego ludu; wyssałam jego zdrowie i przywiązanie dla niego; w młodości byłam Wam mleczną siostrą, mili bracia ze Smerekowa, a dałby Bóg abym dziatkom Waszym mogła być matką i dopełnić obowiązków, jakie mam dla Was. Wy wiecie najlepiej jak kocham Wasze dzieci!... Dziś jeszcze choć daleko od was, jestem jakby z Wami, i nad każdem dziecięciem W szem pochylam się z błogosławieństwnm a proszę Boga, aby je zachował od największego złego, od grzechu.

Jeszcze raz dziękuję Wam, jeszcze raz żegnam Was! obaczymy się jak Bóg pozwoli, a jeżeli nie na tej ziemi, to jako szczęśliwi chrześcianie, obaczymy się w wieczności, i tam ja przyjdę do Was jak Wasza, a otoczą mnie moje i Wasze dziatki.

Po szczególności zaś pozdrawiam Was kumie mój Stefanie Hubaju, wierny przyjacielu nasz, wraz z żoną waszą, dobrą Kseńką. Nie zapomnę Wam do śmierci, jak wiernie przez wiele lat doglądaliście pracy naszej jakby własnej. Maleńkiego pochrzestnika mojego całuję i błogosławię, niech Wam rośnie zdrów i czerstwy na pociechę, uczcie go posłuszeństwa, pobożności, pracowitości; gdy podrośnie posełajcie go do szkółki aby się nauczył czytać i sam czytał listy od chrzestnej mamy. Pozdrawiam cię mile, dobra moja, łagodna Małanko! dziękuję ci jeszcze raz za dziesięć lat wiernej służby, za przychylność twoją, za piastowanie moich dzieci. Pozdrawiam Olexę Procaiła, plenipotenta gromady, starszego brata przy cerkwi. Odjeżdżając żegnałam umierającą żonę jego i płacząc obie powiedziałyśmy sobie „do widzenia“ w innym świecie Słyszałam że umarła i posłałam tej duszy serdeczną modlitwę. Pozdrawiam dawnego wójta,

zacnego Iwana Pryjmę, dziękuję mu za ufność dla nas, za dobrą nieraz radę, za życzliwe serce. Pozdrawiam kochaną i dobrą Odmaszczychę, dziękuję jej za okazywaną zawsze wielką życzliwość, za gościniec jakim mnie na drogę obdarzyła. Pozdrawiam sąsiadkę Gudrychę, niezapomnę nigdy jak mnie w słabości odwiedzała i przysmaki znosiła, i sąsiada Bazylka, którego koniki woziły mnie często do kościoła. Daj mi Boże zawsze takich spokojnych, dobrych sąsiadów, bo jak zły ściąga często złość złego ducha, tak dobry z panem Bogiem żyje. Pozdrawiam moje dziatki łacińskiego obrządku, a szczególnie Jasia Fremuta i Hanię Jaremy co najpiękniej katechizm umiały. Niech niezapomną nigdy pierwszego dnia swojej spowiedzi i komunji, do której przygotowywałam i woziłam ich. Moich biednych pozdrawiam serdecznie! Marunka Słomiana co tak rozpaczliwie załamała ręce gdym odjeżdżała, jakby już nie było dobrych ludzi na świecie a najlepszego Ojca na niebie, niech nieutyskuje na to co Bóg zsela, niech pracuje i modli się, Bóg nieopuści jej dobrych dziatek. Pałamarycha, co tak kocha dzieci, i gdym była bardzo młoda, odratowała mi moje własne, gdy było niebezpiecznie chore, niechaj będzie zdrowa z swojemi wszystkiemi, niech ratuje ludzi z prawdziwą miłością bliźniego, a nigdy niech źle nie czyni i nie mówi. Stach taki biedny, niech przyjdzie kiedy do mnie, bo wie drogę, a niechaj go Bóg wspiera. Jewka moja co najżałośniej zawodziła, niech się pocieszy, niech służy wiernie swojej Pani, niech będzie cicha, zgodna, ja jej nigdy nie zapomnę jak kochała moją Marynię i jak serdecznie nazywała mnie matką, a z odjazdu mojego uczyniła prawdziwy pogrzeb.. Ksenia ładna i żwawa co przyrzekła moje mogiłki ubierać kwiatami, niech się szanuje, niech pięknie i skromnie nosi wieniec dziewiczy, aby czyste sumienie miała przed Aniołami a grzech niepomazał jej duszy.. Młodość i uroda uleci jak puch kwiatka polnego a zostanie cnota, która jedna na świecie znaczy przed Bogiem i tysiąc razy piękniejsza i droższa jak skarby całego świata. Pozdrówcie odemnie dziadka lirnika co przyszedł w poranek mojego odjazdu i śpiewając „Sierotkę“ rozżalił wszystkich tak strasznie.. i wszystkie inne dziadki i babki, częste goście w Smerekowie. Kum Kuźma Martyn niech będzie zdrów! choć kuma moja i pochrzestnik w grobie... i spią koło moich dziatek, niechaj mnie mile wspomina i sierotki swoje pięknie chowa. Nigdy z pamięci mojej nie wyjdzie miła kuma moja. Rozumny i zacny Tomasz Lewko, coby nie jednego zawstydził uczonego, niech tam pomaga gromadzie swoją głową.

Nakoniec mili moi Przyjaciele! pozdrówcie odemnie wszyscy i pokłońcie się Waszemu szanownemu Pasterzowi, który i dla nas był prawdziwym Ojcem, którego nam tak brakuje w życiu i już zawsze brakować będzie. Pokłońcie się w cerkwi waszej drogiej, do której tak tęsknię, Marji Pannie i Świętym pańskim i westchnijcie za mną. Już na głos jej dzwonów niemogę przyjść do Was... Ale duch mój z Wami, serce garnie się do Was i czeka Was przed Bogiem!

Bywajcie mi zdrowi i szczęśliwi! żyjcie z Bogiem na świętej ziemi Waszych Ojców, sprawionej potem Waszym! w tym stanie chlebodajnym co najłatwiej trafia do nieba.

Bywajcie mi zdrowi, kochani moi, dziękuję Wam za wszystko i będę zawsze Waszą do śmierci przywiązaną.

B. E.

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.